

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 16 marca 1947 r.

Nr 11 (68)

TREŚĆ NUMERU: A. J. Kamiński – Cień Kulawego Józefa, L. M. Bartelski – Do Kaliny, St. Rembek – Wyrok na Franciszka Kłosa, M. Kurzyna – Wśród starych dróg i ścieżek przyszłości, Wł. J. Grabski – Dobraczyńskiego „Najeźdźcy, Zagadnienia i poglądy Wymieranie narodu, Elka – Pamiętnik ambasadora Noela, Wilk – Uran na czarnym łądzie.

Aleksander Gostek

Z PROBLEMATYKI LITERATURY

Nawet formalistycznych estetyków wieku 19-go i 20-go, wypierających się jak diabeł święconej wody, wszelkiej sztuki, która próbowała realizować i realizowała ku ich utrapieniu, a z wielkim dla siebie powodzeniem t. zw. ceie anestetyczne (pozaestetyczne), nie przestała dręczyć myśl, że do największych dzieł sztuki ludzkości, które wytrzymały wielowiekową próbę czasu, należą właśnie dzieła o zasadniczym i podstawowym ładunku anestetycznym.

Do takich dzieł, stanowiących bezsporny już kapitał wszystkich społeczeństw wszystkich czasów, należą np. dramaty Ajschylosa i Sofoklesa. Wymowa artystyczna postaci Antygony działa na nas głównie i zasadniczo swoimi walorami etycznymi, przemawiającymi z trafnie zresztą postawionej artystycznie, jakże już chrześcijańskiej Greczynki, która przybyła na ten świat z misją „współkochania”, nie — „wspólnienawidzenia”. Podobna jest ekspresja postaci Prometeusza o pokrewnej problematyce etycznej, choć innej — w strukturze formalnej.

Bezsporne arcydzieło literatury powszechnej, jak m jest „Boska Komedja” wzrusza i będzie wzruszać generacje za generacją; siłą swych wizji, w których nieprześcigniona plastyka Piekła, czy eteryczność obrazowa Raju kojarzy się w sposób nierozdzielny z głębokim nurtem moralnym, który przepływa przez całe dzieło i nadaje mu jedność, właśnie jedność estetyczną wielkiego dzieła.

Trudno również zaprzeczyć, że utwory Szekspira zniewalają w sposób niepartyczny aż do dnia dzisiejszego, zastanawiają i czarują — poza architektoniką scen, subtelnym rysunkiem postaci — więcej jeszcze chyba przenikliwość perspektyw światopoglądowych, które ten poeta otwiera przed czytelnikami swoich utworów.

Zar mistyczny postaci dramatu hiszpańskiego ogrzewa ludzi jakże odległych od siebie ras i czasów; szlachetny patos dramaturgii francuskiej o innym już ciężarze gatunkowym zjednywa dla siebie swym woluntarystycznym dynamizmem. Coż bowiem innego spowodowało, że Cyd i hiszpański Infant otrzymują polski indygenat i to nie tylko — co nie dziwi — z rąk kongenialnego Calderonowej polskiego romantyka, ale — co dziwniejsze — z rąk wyjątkowego i sceptycznego dworaka Jana Kazimierza.

Czyż trzeba na tym miejscu przypominać przykład naszej romantyki, która nie przestaje oddziaływać wychowawczo na swój naród potęgą wyrazu kreacji artystycznych swoich przedstawicieli, którzy je zdobyli, wpatrzeni w wielki stos przeznaczeń własnego narodu. Nie mógł mu się przeciwstawić nawet Słowacki, który przemawia do nas nie tyle filigranami strof Beniowskiego, ile ciężarem estetyczno-etycznym oktafów Króla Ducha.

Spróbujmy tylko odjąć od „Wesela” Wyspiańskiego to wszystko, co namiętnie zwalczali promotorowie suwerennych praw „czystej sztuki”, „czystej poezji” mianowicie to wszystko, co „działa na wolę człowieka”, jego „afekty”, co go „podnieca do interesownych odruchów czynu”, a zostanie z tego fascynującego dramatu niewiele, obrazy jego stracą duszę, staną się odmianą Chochoła zza okna izby weselnej.

Sprawa dzieł sztuki, które od czasu słynnego sformułowania Kanta mają budzić w widzu, słuchaczu czy czytelniku „reakcje bezinteresowne”, nie jest taka prosta — i to nawet dla teoretycznych wyznawców hasła „beztirerosejnej kontemplacji”. Przecież jeden z nich, zrządzeniem losu i łaską Boską nie tylko teoretyk, ale i genialny poeta, tworzy na kanwie starego podania o doktorze Faustie dzieło, które jest żywym zaprzeczeniem em osobistej jego tezy o „autonomii” dzieła sztuki, dzieła bez przymieszki czynników anestetycznych.

To, co się pisze o dziełach „sztuki słowa”, da się równie dobrze powiedzieć o muzyce, np. Beethovena czy malarstwie, np. Leonarda, Rafaela, Angelica.

Wielkimi dziełami sztuki w dziejach ludzkości stały się właśnie te, które wbrew dobremu radom formalistów zajęły w intencji swych twórców stanowisko wyrażnie etyczne wobec zjawisk życia publicznego swych czasów, życia społecznego, politycznego, spraw wychowawczych, rodziny, a nawet procesów życia gospodarczego.

Nikt oczywiście nie będzie twierdził, że wspomniane dzieła sztuki zawdzięczają swój wielki i stały wpływ recepcyjny wyłącznie, czy nawet głównie zawartym w nim czynnikom anestetycznym. Twierdzenie takie byłoby nietrafne, gorzej, bo prostackie. Czynniki te nie przechodzą do artysty z zewnątrz, przemycone do utworu jako t. zw. tendencja. Podobne utwory powstają koniunkturalnie dosyć często, o tym wiadomo, ale tych nie bierze się w rachubę. Czynniki „anestetyczne”, o których mowa, wyrastają i kształtują się w wizji poety jako część organiczna i nierozłączna całości jego przeżycia estetycznego, która daje świadectwo koncepcyjnej rzeczywistości artysty, jako prawdziwy i niesfałszowany wyraz swego czasu,

wyraz artystyczny. Czynniki ściśle estetyczne dzieła sztuki w takiej ekspresji nie jest narażony w symbiozie z czynnikiem anestetycznym na jakikolwiek szwank.

Przyglądając się okresom, kiedy się zjawiają dzieła sztuki, którym próba czasu zapewniła t. zw. nieśmiertelność, dostrzeżemy, że dzieje się to w czasach prężnego dynamicznego życia narodowego. Tak więc jest w epoce Peryklesa, tak również w okresie faktycznego rozdarcia politycznego Italii, przeciwko któremu trwa protest patriotów włoskich, wcielony m. in. w wizje Dantego. To samo obserwuje się w elzbietańskiej epoce narodowego życia angielskiego, czy ludwikowskiej Francji. U nas — w czasie wielkiej emigracji, w epoce niebываłego wyteżenia sił narodu, który się broni przed unicestwieniem m. in. — i to chyba głównie i najskuteczniej — w reprezentacji literackiej wielkiej emigracji.

Oslabienie rytmu życia narodowego, spłylenie jego nurtu, powoduje nieuchronne skutki i w dziedzinie sztuki (najwyraźniej zawsze w sztuce literackiej). Rozpoczyna się wtedy okres dekadentkiego estetyzowania, które ma za wszystko i dla siebie wystarczyć. Naród nie ma nic do powiedzenia, wkracza więc na tory jubilerskiego sztukmistrzostwa, uzasadniając często nawet i na drodze teoretycznej wyłączne prawo do życia t. zw. sztuki dla sztuki. Literatura przestaje być funkcją życia narodu, w której naród prawdziwie żyjący wypowiada „wielką treść” swego czasu, tworzy symbole swojej przeszłości, konstruuje wyznaczniki teraźniejszości i wypracowuje drogowskazy przyszłości. Literatura schodzi do roli zabawki pięknoduchów, których widzimy we wszystkich epigońskich okresach kultury narodów, okresu zmierzchu tych kultur. Stąd ta charakterystyczna i

powtarzająca się małoduszna ucieczka w krainy sielankowych Arkadii, w najlepszym razie w idealne sfery, tworzone działaniem kontrastowego stylu satyryków. Na pozytywny kształt artystyczny etosu narodowego brak już sił i chęci. Mimo pozornej swej świetności objawy epigońskiego rozkładu starej kultury rzymskiej i zarodek rychłej swej śmierci niósł np. w sobie okres augustowski. Zatracił on już dogmat cnoty starorzyskiej, a z pojęcia cnoty uczynił w poezji igraszkę zręcznych wierszopisów, nawet u subtelnego Horacego. Taką literaturę stworzyła również epoka burżuazji 19-go wieku, bo ta Europa nie miała dogmatu narodowego, a jeżeli go nawet próbowała konstruować, nie miała sama w niego wiary, już nie mówiąc o tym, aby mogła kogoś natchnąć wiarą w swoje bezduszne dogmatyczne prawdy. „Piękne” kliniczobserwuje się u nas w okresie panowania młodopolszczyzny: u Tetmajera, czy Przybyszewskiego z jego mało ciekawą „nagą duszą” i wyklinanego przez erskiej literatury, jako biblii „pauperum”. Szamota nie się Kasprowicza, czasami beznadziejne, sytuacji nie ratuje, bo nie daje w wyniku jego negatywnych metafizycznych koncepcji pozytywnego dogmatu; bardzo długo będzie go poeta szukał, aby poprzez „Marchońta” dojść wreszcie, ale to już w innej epoce, do utworu o jakże charakterystycznym dla przybyszewszczyzny tytule „Księga Ubogich”.

W okresie międzywojennym naród nasz nie zdobył się na literaturę w stylu wielkim, w stylu narodowym. Poza większymi artystycznie koncepcjami Żeromskiego, ale niedonoszonymi, które nie tworzą skończonej całości, zadowolaliśmy się uprawianiem ozdobnictwa dla ozdobnictwa, uważając za szczyt literackiej doskonałości — zwłaszcza w lirze — fabrykowanie epatujących kawiarnianych snobów coraz to wyszukanszych metafor, aby ukryć poza nimi pustkę, która nie była niczym innym, jak postacią nihilizmu moralnego. Rozpanoszył się wtedy kult rzeczywistego „bełkotu metaforycznego”, że użyję tutaj mało eleganckiego wyrażenia, puszczanego niedawno w obrót powszechny. Doszło wreszcie do tego, że w ucieczce przed zmorą jakiegokolwiek postawy moralnej w poezji odegazanego teorie (stosowanej i w praktyce) pewnego Niemca z pierwszej połowy ubiegłego wieku, który w trosce o autonomię „czystej poezji” wypędził z niej nie tylko etos, ale i wszelkie próby wywoływania w czytelniku wyobrażeń intelektualnych, przedstawiając na rolę poezji, jako zmysłowej łańskotki, jako sztuki wywoływania przyjemnych asocjacji dźwiękowych.

Są znaki na niebie i na ziemi, że weszliśmy w okres dynamiczny naszego bytu narodowego; zgodnie więc z „dialektyką wieków” powinna nieuchronnie i konsekwentnie powstać sekundująca mu wielka literatura, literatura wielkich problemów, obejmujących całokształt życia narodu. Z drugiej strony nie widać, aby po wojnie nastąpiła jakaś radykalna zmiana na obszarze naszej literatury pięknej. Dalej trwa dostawa dla czytelników dzisiejszych przedwojennego towaru literackiego w jego dawniejszym

Wyłączne

NARESZCIE

Z NAJWIĘKSZĄ radością witamy wiadomości o porozumieniu polsko-czeskim.

Przed wojenne nasze nieporozumienia tłumaczyły się odmienną koncepcją polityki zagranicznej obu państw. Czechosłowacja — jak wiadomo — chciała oprzeć swoje bezpieczeństwo na sojuszu via Mała Ententa ze Związkiem Radzieckim.

Polska w tym okresie lawirowała między Niemcami a Rosją i polityka ministra Becka nigdy nie popierała Małej Ententy, jako koncepcji zaključającej teoretyczną równowagę na korzyść Rosji w tej części Europy. Mała Ententa była zresztą narzędziem polityki francuskiej, budzącej system zbiorowego bezpieczeństwa skierowany przeciw Niemcom i oparty jednym ramieniem o Rosję, co z wyżej wymienionych powodów, nie odpowiadało ówczesnej polityce polskiej. Na tle zasadniczo innych koncepcji politycznych powstały zdrażnienia mniejszościowe, szczególnie bolesne dla nas. Skończyło się tragiczną sprawą Zaolzia.

Obecnie sytuacja uległa radykalnej zmianie. Ale nasze narody znajdują się w tym samym systemie politycznym i ostatnie niepowodzenia były właściwie niezrozumiałe.

Wierzmy, że podpisany pakt sojuszu zakończy je ostatecznie. Przy obustronnej dobrej woli sprawy graniczne i ludnościowe napewno dadzą się definitywnie pogodzić. W przyszłości wszystko powinno być łączyć — nie dzielić. Mamy taką samą politykę zagraniczną, uzupełniają się nasze problemy gospodarcze, uzupełniamy się kulturalnie i nawet charakterami narodowymi.

Jeśli między naszymi narodami nastąpi prawdziwe zrozumienie i braterstwo jeśli będziemy szli do jaknajściślejszego zbliżenia i przyjaźni, której brak drogo nas kosztował w historii — to wtedy będzie można uznać pakt podpisany w Warszawie za wydarzenie historyczne.

W świetle...

SYSTEM SOJUSZÓW

4 MARCA nastąpiło w historycznej Dunkierce podpisanie sojuszu między Francją a Wielką Brytanią. Zawarty na 50 lat sojusz precyzuje konieczność wspólnej akcji w razie ewentualnej agresji Niemiec przeciw którejś z układających się stron, nie przesądza jednak — przynajmniej w części ujawnionej — poglądów obu państw na takie rozwiązanie zagadnienia niemieckiego w chwili obecnej, by do ewentualnej agresji nie dopuścić. Równocześnie Francja rozpoczęła rozmowy na temat zawarcia sojuszu z Belgią, Czechosłowacją i nową Polską. W połączeniu z istniejącym już sojuszem francusko-rosyjskim, oraz innymi sojuszami europejskimi (np. przygotowywanym sojuszem polsko-czechosłowackim) traktaty te próbują budować trwały system bezpieczeństwa europejskiego, idący mimo ONZ. Mimo — nie przeciw. Dyplomaci mają, niestety, ciągle jeszcze większe zaufanie do systemu państw bilateralnych niż systemu bezpieczeństwa zbiorowego. Być może, iż na krótką metę jest to niewątpliwie skuteczny sposób zapewniania ochrony własnym interesom — postępowanie jednak tego rodzaju nie jest korzystnym dla wzrostu znaczenia Org. Narodów Zjednoczonych. A tylko pełny system zbiorowego bezpieczeństwa może naprawdę zapewnić światu rzeczywiście długi pokój.

PRUSY

S OJUSZNICZA Rada Kontroli w Berlinie ogłosiła dekret o likwidacji Prus. Dekret ten, mający na celu zabezpieczenie pokoju przez likwidację ośrodka militarystyki i reakcji niemieckiej, składa się z dwóch punktów. Pierwszy brzmi: „Państwo pruskie wraz z rządem centralnym i wszystkimi urzędami przestaje istnieć”. Oraz drugi: „Terytoria, które wchodziły w skład państwa pruskiego i które znajdują się w chwili obecnej pod władzą Rady Kontroli, zostają uznane za kraje i też zostają wcielone do innych krajów niemieckich”. Decyzja Rady Kontroli wyrażona dwupunktowym dekretem ma doniosłą wartość prawną, ale dość nikłą — praktyczną. Istotna likwidacja Prus została dokonana z chwilą wcielenia większości jego obszaru do Państwa Polskiego. Ideowa zaś likwidacja militarystyki i reakcji pruskiej — zostanie dokonana dopiero wtedy, gdy nastąpi przemiana psychiki niemieckiej w ogóle. Tym bardziej, iż kolebkami nowego prusactwa już dwukrotnie okazały się nie Prusy, lecz właśnie Bawaria. Nie mniej w żmudnym dziele reedukacji narodu niemieckiego — zniszczenie „mitu pruskiego” może okazać się korzystne. Pod warunkiem jednak, by uchwała formalna Rady Sojuszniczej na drodze niszczącego tego mitu była pierwszym, a nie ostatnim krokiem.

CENTRALIZACJA CZY DECENTRALIZACJA?

1 TO jest pytanie, które w odniesieniu do Niemiec stawiają sobie wszyscy europejczy i światowi mężowie stanu. Francja reprezentuje najdalej posunięty postulat decentralizacji Niemiec, postulat luźnej federacji. Anglia opowiada się za federacją, posiadającą rząd centralny. ZSRR raczej za jednolitym rządem centralnym. Sprawy te będą rozstrzygnięte przez czterech ministrów. Jakiegokolwiek będzie to rozstrzygnięcie — należy jedno zauważyć. Tak, jak i inne narody, tak i naród niemiecki przechodził proces całkowania; z mniejszych narodów wyłaniał się i kształtował naród wielki. W dobie, gdy świat cały odbywa proces całkowania — aczkolwiek nie przychodzi on łatwo — nie wydaje się nam, by mogło dać trwałe i korzystne dla świata rezultaty sztuczne cofanie tego procesu na odcinku niemieckim. Nie wydaje się nam możliwe, by naród niemiecki mógł z powrotem rozpaść się na szereg innych narodów. Rozwiązanie problemu niemieckiego, które narodowi niemieckiemu narzuciłoby formalną konieczność podziału — będzie rozwiązaniem sztucznym, rozwiązaniem przeciwnym tendencjom historycznym — a więc rozwiązaniem co najmniej nietrwałym. Na innej drodze należy szukać rozwiązania dylematu.

Jednocześnie prof. Breitner z Innesbrucka opowiada o b. więźniach Niemców jako o „wielu tysiącach ludzi, którzy jako nieugięci przeciwnicy hitlerizmu, umierali w obozach koncentracyjnych i tysiącach, które miały odwagę brać udział w czynnym ruchu oporu...”

Nie dość na tym. We Francji (!) pisze na łamach „Une Semaine dans le Monde” A. Beguin, że „Sonety moabickie” Haushofera (pisane w więzieniu berlińskim w Moabit) „otworzyły oczy tym, którzy, jak ja, wątpili w istnienie prawdziwego wewnętrznego oporu przeciw Hitlerowi...” (9).

Widziałem w obozie tych nieugiętych przeciwników hitlerizmu, jak w zaufanym gronie, a zatem bez potrzeby udawania, oburzali się na zamachowców 20 lipca i zachwycali się V I. Ale to znowu jest, niestety, oczywiste — zbyt oczywiste.

Ponieważ zaczynam coraz mniej pisać o dziedzictwie kulawego doktora Goebbelsa, a coraz więcej o tym, że my nie odziedziczyliśmy nic po nim — muszę się poprawić.

Drugą wielką kampanią prasową, prowadzoną „krytym sztychem”, jest obrona przed słusznymi, nazbyt słusznymi żądaniem państw, które padły ofiarą hitlerizmu. Otwarta odmowa, szczery sprzeciw, nie prowadziły wobec przewagi alianców do niczego. Prowadzi się przeto akcje na trzy sposoby.

Pierwszy, to argumenty rzeczowo-gospodarcze. Bez tego, czego żąda (Polska, Holandia, Czechosłowacja... ten, o kogo w danej chwili chodzi) Niemcy nie będą mogły odbudować swojej gospodarki i zapłacić odszkodowań. Formułka tak dalece już zesztywniała, że jedno z pism w sprawie Saary w odległości dziesięciu wierszy twierdziło, że Saara wymaga dużego importu żywności (aby zbić francuskie twierdzenia o nielegalnym eksporcie żywności stamtąd) — i że bez Saary Niemcy nie będą w stanie się wyżywić.

Jednocześnie wysuwa się argumenty bardziej personalne. Sam dr. Kurt Schumacher stwierdził niedawno w swoim artykule (7), że „wyżywienie Niemiec zależy od rozszerzenia granic politycznych na wschód. Im większe będzie to rozszerzenie, tym mniejsze będą koszty dla płatnika podatkowego amerykańskiego i angielskiego...”

Drugi sposób, to „potrzeby demokracji”. Dla demokratyzacji narodu niemieckiego, dla zachęcenia go do demokracji, trzeba mu dać jak najwięcej ustępstw, trzeba go potraktować jak najlepiej. Truono o lepszy dowód beznadziejności demokratyzowania Niemców, jak w tych wypowiedziach, z których jasno wynika, że dla demokracji trzeba ich po prostu kupić — o przekonaniu nie może być mowy.

Trzeci rodzaj argumentacji, to powoływanie się na wzniosłe ideały, z groźbą wojny ukrytą jak wąż wśród kwiatów. „Europa” staje się tu, dokładnie właśnie jak za czasów doktora G., synonimem Niemiec. „Pokój prawdziwie europejski”, „podejście godne prawdziwego Europejczyka”, „dalekowzrocznie europejskie rozwiązanie problemu” — te wszystkie zdania i milion podobnych, oznaczają

9) „Lüneburger Landeszeitung”, 7.2.47. Strefa bryt.

10) „Braunschweiger Zeitung”, 10.12.1946. Pismo partii Schumachera.

W związku z ukazaniem się powieści Jana Dobraczyńskiego p. t. „Najeźdźcy” (wyd. Oficyny Księgarskiej w Warszawie), zawiadamiamy naszych Czytelników, że wysyłać Im możemy książkę za nadesłaniem zgłoszenia.

Czytelnikom naszym możemy wysyłać książkę, nie obciążając ich kosztem porta, za zaliczeniem lub po otrzymaniu należności.

Cena powieści, wydanej w 2 tomach, w ładnej okładce, wykonanej przez Jana Knothego, wynosi 1.000 zł.

REDAKCJA



Lesław M. Bartelski

DO KALINY

Jak ciężko przeżyć jeden dzień, by nie uronić nic z milczenia, świat jest jak gwiazdny świecznik, świat rozprysł się w kryształów dźwięk, skryty jak skrzypce na dnie strumienia.

Jakież mi teraz układać wzory, które mnie w szczęście wprost powiodą, wartością życia trop wspomnienia, łagodny gest jak pejzaż rozchylonych rąk ukazuje w ogniu zagubioną młodość.

Jesteś jak przemiana. Wiatr północny wieje, ścina lodem ruiny jak wapienne złoża, jak zmęczone powieki niebo ponad nami, a zewsząd swąd jak z paleniska: próchnięją mury miasta, które zniszczył pożar.

My tam byliśmy jak w ciemnej nocy. Aby nas wywieźć — krwi trzeba było. A teraz brniemy pośród tych krzyży, jak tragarze pochyleni pod ciężarem nadziei,

którą nazwiemy tak łatwo: miłość.

KRYSTYNIĘ XIĘŻOPOLSKIEJ

tem — u nas głód, tam dużo jedzenia... Lebensraum, Lebensraum (11).

„Naród niemiecki musi dzisiaj odpokutować za to, że zezwolił na okropności i zbrodnie, dokonane przez Hitlera i jego nieludzkiej drużyny” — powiada Otto Grotewol, jeden z przywódców SED (12). Otóż to! Nie współdziałał, nie zrobił sam nic — zezwolił.

Wychodzi oto w Berlinie nader niewinna powieść kryminalna — „Zwischenfall im Nordexpress”. Tylko tak się dzieje, wie składa, że wszyscy kryminaliści noszą nazwiska angielskie lub francuskie, jeden, który ma jeszcze trochę sumienia i nawraca się na lepszą drogę, (ale towarzysze o nazwiskach angielskich zabijają go!) — jest Wloch; natomiast szlagami sprawiedliwości i pogromcami bandytów są Niemcy. Taki sobie drobny, prawdziwy.

Przysiąka to nawet do redakcji pism wydawanych przez aliantów. Na okładce tygodnika wydawanego przez Amerykanów (13) widzimy na „stacji przejściowej” biedną starowinkę, pochyloną nad smutnym podróżnym workiem, na którym bardzo wyraźnie widać napis gotyckimi literami, świadczący, że właścicielka pochodzi z „Liegnitz”. A do powieści drukowanej w radzieckiej „Tägliche Rundschau” Niemka-autorka potrafiła przemycić motywy Berlina płonącego pod alianckimi bombami, z oddziałem SS gąszczącym płonące domy na pierwszym planie (14).

System drobnych pchnięć przejęły również i agencje niemieckie. Agencja prasowa DENA posłała w początku stycznia wszystkim pismom wiadomość o objęciu przez Birmingham patronatu nad Kolońią. Wiadomość w dwa dni później dementowano — ale też zapewne dementi nie dotarło wszędzie tam, gdzie pierwotna wiadomość.

Nie chcąc nużyć czytelnika powtarzaniem podobnych przykładów. Faktem pozostaje, że prasa niemiecka nie zamierza bynajmniej pracować demokratycznie, że umie nadal zręcznie i podstępnie barwić prawdę, że służy dalej nie obiektywnej słuszności, ale uwolnieniu Niemiec od odpowiedzialności i pragnie szkodzić zwycięzcom. Faktem jest również, niestety, że zadanie swoje spełnia umiejętnie i wraz z innymi czynnikami propagandowym — głównie propagandą szeptaną, której zresztą dostarcza argumentów — działa nie mało na urobienie nastrojów wśród zwycięzców.

Musimy to wiedzieć — musimy to wiedzieć — musimy temu zapobiegać. Dla świata bowiem nie jest oczywiste. Propaganda, broń potężniejsza w umiejętnym zastosowaniu od bomby atomowej, rozstrzyga o wygraniu pokoju oardziej jeszcze, niż o wygraniu wojny.

Andrzej Józef Kamiński

11) „Der Abend”, 13.2.1947, Berlin.

12) „Neues Deutschland”, organ SED Berlin.

13) „Heute”, 15.2.47. Tygodnik amerykański po niemiecku. Monachium.

14) „Tägliche Rundschau”, 25.12.46. Pismo radzieckie po niemiecku. Berlin.

